

Romualda BEREŻECKA

Z PANIĄ PROFESOR W ŚWIAT...

Profesor Irena Sławińska była tak bogatą duchowo i intelektualnie postacią, że nie sposób ogarnąć Jej w jednej wypowiedzi.

W moich wspomnieniach nawet nie próbuję podejmować wątków przywołujących Panią Profesor jako uczoną, profesora uniwersytetu, teatrologa, pisarza, wyjątkowego znawcę C. Norwida. Osobisty zapis wspólnie przeżywanych chwil, mam nadzieję, przybliży Profesor Sławińską jako człowieka, osobę wrażliwą na ludzi i świat.

*

Czuwanie przy odchodzącej Pani Profesor...

Myślałam obrazami o minionych dniach, latach, o sytuacjach, które spowodowały, że dłoń Pani Profesor spoczywa w mojej, a delikatne drgnienia i poruszenia palców są wyrazem świadomego przeżywania chwili, a także akceptacji mojej obecności.

Ustały rozmowy. Jedynie z rzadka i z trudem wymówione słowo, a ruch powieką potwierdzał zgadywaną prośbę. Ostatnie pełne zdanie, którym zawsze witała odwiedzających, teraz wypowiedziane nagle z błyskiem oczu i z uśmiechem rozpoznającym mnie: „Ooo! Bardzo mi miło”, nabiera wyjątkowego znaczenia. To niespodziewane ożywienie zakończył silniejszy uścisk i przytulenie policzka do ręki.

Spokój. Myśli biegną ku Uniwersytetowi. W nich Mistrzynie – moja, nasza... Szczególna atmosfera. Życzliwy, poważny – ośmielę się powiedzieć – partnerski stosunek Profesorów Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego do nas studentów – (pełnych przecież estymy do naszych nauczycieli) – rodził się w salach wykładowych i dojrzywał poza murami Uniwersytetu – nad jeziorem, w lesie, w górach, nad morzem, we wspólnym przeżywaniu trudów i radości obcowania z naturą oraz rozmów przy posiłkach w plenerze czy w czasie spacerów... Dlatego te przyjazne kontakty przeniosły się na dalsze lata i przerodziły w związki niemal rodzinne, choć bez pokrewieństwa. W naturalny sposób

przejmowaliśmy opiekę nad pokoleniem, które nas kształtowało, przygotowywało do pracy zawodowej, ale także uczyło umiejętności widzenia tego, co ważne w życiu.

*

Zbliżało się lato 1968. Pracowałam w Bibliotece Uniwersyteckiej KUL. Niespodziewanie odwiedziła mnie Pani Profesor z wiadomością, że wyjeżdżamy w Bieszczady. Rytm urlopowy wykluczał możliwość mego udziału w wyprawie. Wyrażone przeze mnie wątpliwości Pani Profesor skwitowała jednym słowem: „Taak?!” – z uśmiechem i tonem znanym wszystkim studentom twierdzącym lub wyjaśniającym, że coś jest niemożliwe. Z tym odeszła. Ale wróciła niebawem z informacją, że otrzymałam tydzień urlopu.

Następnego dnia byliśmy w pociągu, a w Polańczyku czekały na nas Rysia¹, Ewa² i kilka innych osób. Rzadko uczęszczane Otrytu – bez wody, Solina – z jej nadmiarem. Przygody – lepiej przemilczeć. Powiem jedynie, że pływanie kajakami, zaplanowane w słoneczny ranek na dwie do trzech godzin, skończyło się po dwudziestu sześciu, na dodatek po burzy, ulewie, ciemnościach – a my jedynie w kostiumach kąpielowych i z ręcznikami. Pani Profesor – o dziwo! – miała płaszcz ortalionowy – nie dlatego, że to szyk mody, ale że łatwy w złożeniu w bardzo małą kopertę. Zmysł turystyczny, przewidywanie niespodzianek usprawiedliwia tę przezorność.

To było szaleństwo Pani Profesor przed wyjazdem za granicę na wykłady.

*

Minęło kilka lat. Los zrządził, że dostrzegłam Panią Profesor w kościele św. Krzyża w Warszawie. Rozpoczęły się częste spotkania w moim mieszkaniu, nierzadko z moimi znajomymi i moimi uczniami – silne obustronne fascynacje... A jednak bez żalu myślałam, że mój autorytet nauczycielski poddany jest weryfikacji i pewno ucierpi, a dowiadywałam się o wdzięczności moich uczniów za te spotkania.

*

Potem – Rogóżno, Tatry – Tatry, Berlin – Zachodni, USA, Kanada, Norwegia. Każdy wyjazd był wyjątkowy i szczególny. Poza wędrownkami, oddycha-

¹ Ryszarda Żarkowska – absolwentka KUL, studentka Pani Profesor. Por. w: I. Sławińska, *Szlakami moich wód...*, Norbertinum, Lublin 2004, s. 175.

² Ewa Morzycka – nauczycielka, dużo później – w latach dziewięćdziesiątych – zapraszała Panią Profesor z wykładami na Uniwersytet Trzeciego Wieku w Zakopanem.

niem czystym powietrzem – rozmowy (np. w Zakopanem w domu państwa A. i W. Młynarskich³ z profesorem J. Lewańskim⁴), spotkania z wieloma osobami świata nauki i kultury, dawnymi studentami lub przypadkowymi turystami, którzy dziwnie i nieoczekiwanie pojawiali się na szlakach Pani Profesor.

*

Celem wyjazdu do Stanów Zjednoczonych było odebranie nagrody A. Jurzykowskiego. W podświadomości jednak – tak sądziłam – miały to być spotkania z licznymi przyjaciółmi zza wielkiej wody – kolegami uniwersyteckimi i ich rodzinami, przyjaciółmi z Wilna zakorzenionymi w nowej ziemi po różnych zakrętach historii i z własnymi studentami z okresu wykładów oraz KUL-owcami tam szukającymi swojego szczęścia czy miejsca.

To było wielkie świętowanie. Spotkania miały różny charakter. Obok poważnych, oficjalnych (np. w Ambasadzie Polskiej w Waszyngtonie) były inne, pozornie zwykłe, ale niezwykle serdeczne, na przykład w domu państwa Szyryńskich⁵ w Ottawie z kanadyjską Polonią, którą stanowiła emigracja po drugiej wojnie światowej i zupełnie nowa z ostatnich lat.

Zawsze zdumiewał mnie mocny magnetyzm Pani Profesor, przyciągający różne osoby pragnące kontaktu, rozmów czy po prostu przyjęcia we własnym domu, często letnim, w cudownych lasach nad jeziorami.

Wieczory autorskie Pani Profesor to dar dla wielu doświadczonych wojną i PRL-em – dla Polaków po polsku: „Pożegnanie «wroga»” (Tryptyk paraboliczny) – Zastuchanie, łzy, wspomnienia, uściski. Angielskie tłumaczenie powstało naprędce przy pomocy Donnity⁶. Pani Profesor doświadczenia własne nie tylko wojenne, ale także te najtrudniejsze z Wilna – Jej Wilna – przekazywała nie jako oskarżenie za doznane krzywdy, lecz jako wielką tajemnicę o godności człowieka i o „parabolizujących się wydarzeniach”⁷.

Absolutną niespodzianką było spotkanie z panią Lucy⁸. Znajomość zawarła kiedyś w Polsce, w pociągu podczas podróży do sanatorium. Pani Lucy, dowiedziawszy się – szóstym zmysłem – o pobycie Pani Profesor w USA, telefonicznie ją odszukała, zaprosiła, ugościła w swoim domu w Trenton. Zaserwowała także atrakcję – wyjazd do Atlantic City do... kasyna. Emocji było sporo, szczęście jednak nie sprzyjało⁹. W drodze powrotnej – nie wiem dlaczego – natrętnie w głowie snuła mi się melodia *Carramby* o Johnie, „co miał

³ Adrianna i Wojciech Młynarscy – aktorka, literat i piosenkarz.

⁴ Julian Lewański – profesor historii literatury.

⁵ Wiktor Szyryński – przyjaciel z Wilna mieszkający w Ottawie.

⁶ Donnita Whittier – slawistka, studentka Pani Profesor mieszkająca w Waszyngtonie.

⁷ Zob. Sławińska, dz. cyt., s. 105-109.

⁸ Lucy Heller-Trenton.

⁹ być może dlatego, że za ścianą wabił szumem ocean.

pistolet nabity”, o czym „wrzasnęły kobity (!) – carramba” – śpiewanej w czasie plenerowych spotkań. Myślę, że wszystkie pokolenia studentów znają tę śpiewankę i to niepowtarzalne wykonanie Pani Profesor.

A wieczorem przyszedł sąsiad pani Lucy – żołnierz Andersa – spragniony „żywych” wieści z Ojczyzny. A było o czym „pogadać”.

*

Grafik podróży po USA i Kanadzie wyznaczały i uzasadniały emocjonalne związki i intelektualne potrzeby Pani Profesor.

Na początku w Nowym Jorku odwiedziłyśmy dom państwa Elżbiety i Roberta Valkenier¹⁰. Pani Elżbieta – to córka prof. Manfreda Kridla – więc sentyment oczywisty. Pan Robert pełnił rolę cicerone. Gięda nowojorska – w przeciwieństwie do wszystkich muzeów – nie wzbudziła zainteresowania Pani Profesor.

John Wilson¹¹ – o urodzie Hemingwaya – przywiózł nas do swojego domu w Worcester. Żona Margo i dwoje dorastających dzieci były znakomitymi kompanami, zwłaszcza pływackich szaleństw w jeziorze o dźwięcznej i prostej nazwie: Chargoggagoggmanchavgagoggchavbunagungamaug.

John znał pasje Pani Profesor i wiedział, czym sprawić Jej przyjemność. Songi Johna czarowały czarujące wieczory.

Po drodze krótki pobyt w Baltimore u państwa Danuty i Stanisława Mostwinów¹².

I... do Donnity – ciągle tej samej, z którą dotykałyśmy Muru Berlińskiego na dwa lata przed jego upadkiem.

Dom Donnity i Hanka Whittier i ich trojga nastolatków, tuż pod Waszyngtonem, był w tej podróży oazą. Niezwykła zażyłość i serdeczność całej piątki. Początek sięga lat uniwersyteckich panny Donnity. Mąż Donnity ciągle pełen godności i wzruszająco opiekuńczej delikatności wobec Pani Profesor.

W Buffalo gościna u państwa Zofii i Kazimierza Braunów¹³, skąd do Toronto przewiózł nas Piotr¹⁴, a po drodze postój, na chwilę, u pani Elizabeth Orsten¹⁵.

Zatem Kanada – kilka dni w raju. Swoiste rekolekcje. Madonna House w Combermere – dom wspólnoty religijnej międzynarodowego zgromadzenia opartego na regule ora et labora. Domy rozrzucone nad rzeką Madawaską – o niezwykle czystej wodzie. Nietrudno się domyśleć, jak spędzała czas Pani Profesor.

¹⁰ Elizabeth Valkenier jest profesorem.

¹¹ John Wilson – profesor, kolega z czasu wykładów na amerykańskim uniwersytecie.

¹² Danuta Mostwin – pisarka.

¹³ Kazimierz Braun – reżyser teatralny, profesor, pisarz.

¹⁴ Piotr Skeris – absolwent i pracownik naukowy KUL.

¹⁵ Elizabeth Orsten – profesor.

Zdumiewające – w dwudziestym wieku domy bez kluczy, zamków, strzeżone chyba przez niebotyczne sosny. Włączone zostałyśmy w rytm życia wspólnoty dzięki pani Marii¹⁶, która była powodem naszych tam odwiedzin. Spacerujemy. Na uboczu cmentarz i krzyż ze słowami poety: „All my words for the Word”¹⁷.

Kanadyjskie Kaszuby – polskie. W domku letniskowym państwa Szyryńskich, oczywiście w lesie, nad jeziorem, w roli gospodyni – Teresa¹⁸. A w niedzielę, na wciśniętym między dwa jeziora cyplu, Msza święta – nareszcie po polsku, dla licznie mieszkających tu Polaków. I znów rozmowy, rozmowy, rozmowy...

*

Po sześciu tygodniach wozazowania nie miałam wątpliwości, że była to podróż pożegnalna, a odbiór nagrody – pretekstem. Imperatywem – po prostu autentyczna, głęboka przyjaźń. Pani Profesor chciała spotkać wszystkie osoby, z którymi łączyły ją i mocne, i delikatne, i wątle nici, a czas i przestrzeń nie były w stanie ich splątać ni zerwać.

Ta właśnie potrzeba bycia z ludźmi – jakaś forma zobowiązania czy powinności, że jeszcze raz trzeba coś powiedzieć, czy – jak mówiła – „chwile pobyć razem”, odczuć ciepło ręki, zatrzymać spojrzenie, ton głosu i złożyć w tej, przeznaczonej dla każdego, skrytce serca – wyrastała bez wątpienia z miłości. Pani Profesor kochała ludzi i umiała to okazać.

Czy wszyscy obdarowywani mieli tego świadomość? – Tam i tu – w Polsce.

*

Marzenia o Norwegii powracały co jakiś czas i uciekały. Gdy w końcu wyjazd został postanowiony i należało wykupić bilety na lot samolotem, Pani Profesor zrezygnowała. Dlaczego? Nie ma znaczenia.

W końcu w następnym roku siedzimy w autobusie PTTK; są też Halszka¹⁹, Ewa i pani Wanda²⁰ – stanowimy nie tylko grupę ochrony, ale też gospodarcze zaplecze.

Noc na morzu – na szczęście łaskawie spokojnym. Pogodny ranek nastrajał optymistycznie.

¹⁶ Maria Kowalczyk – malarka należąca do wspólnoty.

¹⁷ Wszystkie moje słowa dla Słowa (Boga).

¹⁸ Teresa Rzymkiewicz-Parent – absolwentka klasyki na KUL, tłumacz, mieszka w Ottawie.

¹⁹ Halszka Kostrzeba – lekarz w Zakopanem. Utrwalała wyprawę w fotografii, np. zamieszczonej w artykule Tomasza Fiałkowskiego *Na scenie życia... O Irenie Sławińskiej na Jubileusz* („Tygodnik Powszechny”, nr 35 z 31 VIII 2003).

²⁰ Wanda Sadzikowska – znajoma z Zakopanego.

Krajobraz norweski chyba spełniał oczekiwania Pani Profesor. Od początku zachwyty – oczy dziecka oglądającego fascynującą baśń, oczy dojrzałej osoby podziwiającej piękno, cud stworzenia; metafizyczny zachwyty.

Fiordy – wszędzie otoczona górami woda, klarowna do głębi, ale niestety niedostępna – to sprawiało dotkliwie cierpienie, którego nie koili wielokrotne pływania promem.

Przewodnik w ogóle nie chciał dostrzec żadnego miejsca umożliwiającego kąpiel. I nagle – przypadek czy zrządzenie losu, może trolle przygotowały nagrodę za nadzieję i cierpliwość – przypadkowy przystanek, a w tle jezioro. Rozmarzone spojrzenie Pani Profesor przeniosło się na mnie. „– Widzisz? – Widzę! – No to idziemy!”.

Za parę chwil byliśmy w wodzie jedyne spotkanego po drodze jeziora (jeziorka). Woda nie była klarowna jak w fiordowych zatokach, lecz pełna patyczków, grudek torfu – borowina. Ale była! I my w niej byliśmy!

Dostrzegła nas reszta wycieczkowego towarzystwa i wszyscy runęli w stronę pomostu – jedyne dostępu do jeziora. Któraś pani z wielkim zawodem krzyknęła: „Nie mam kostiumu kąpielowego”. – Proszę skakać bez kostiumu – odkrzyknęłam. Skoczyła.

Pani Profesor na kąpiel, na kontakt z naturą była zawsze przygotowana – kostium kąpielowy nosiła w torebce, jak absolutnie niezbędną rzecz, jak damy... puderniczkę. Nie dała się zaskoczyć szansie. Zapasowe obuwie, sweter itp. rzeczy – niekoniecznie, ponieważ zmoczone można wysuszyć, ostatecznie kupić inne, a jeśli nie było gdzie – to trudno. Kostium kąpielowy – to zupełnie co innego – musiał być i już!

Lodowiec – zapowiadana atrakcja – fascynował grozą, tajemnicą, może nawet nazwą.

Pani Profesor nie zdobyła go, pozostała u podnóża ze stłuczoną i zwichniętą nogą oraz z duchami gór na medytacje.

Nie mogliśmy z Halszką odmówić sobie dotknięcia lodowca stopą, a nie tylko oczami. Wyrzuty sumienia, że nie zostałyśmy razem zagapione w skrzący się w słońcu masyw. Wróciłyśmy pełne dosytu i skruchy. Pani Profesor umiała rozwiać nasze niepokoje, uciszyć wyrzuty. Cieszyła się, że byliśmy, dzieliła naszą radość, pytała o szczegóły, rozumiała... Myślę, że Jej umiłowanie natury było kluczem do współuczestniczenia bez goryczy w naszej radości. Ale chciała wiedzieć, więc trzeba było opowiedzieć nie tylko, jak było, ale i o doznaniach. Jak spędziła czas w tym miejscu – a było urokliwe – podzieliła się z nami. A widzieć umiała wyjątkowo.

W tej fascynującej podróży od Świnoujścia po Nordkyn potrafiła Pani Profesor znaleźć czas na odwiedzinę pana Lecha Sokoła²¹ w Ambasadzie Polskiej w Oslo. To znamienne – zawsze spotkanie z osobą, z ludźmi.

²¹ Lech Sokół – Dyrektor Instytutu Sztuki w Warszawie, wówczas ambasador RP w Oslo.

Na szlaku przyjaciół Pani Profesor i wód zawsze były muzea, galerie sztuki, kościoły i biblioteki – łącznie z Biblioteką Kongresu Stanów Zjednoczonych.

*

Ostatni okres „wycieczek” to spacery po ogrodzie okalającym dom Zgromadzenia Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia. Zastanawia mnie, jak w tej otoczonej murem posesji Pani Profesor potrafiła dostrzec las, który stanowiła kępa drzew za murem i torem kolejowym. Miała swoją „świątynię dumania”. Stanowiły ją trzy akacje, tworzące ocieniony zakątek z ławeczką. Stąd widok na krzewy, a przede wszystkim na drzewa. „Drzewa lubię najbardziej” – powtarzała. Ciągle pokazywała mi świerki i mówiła o ich urodzie.

Równie intensywnie cieszyło Panią Profesor niebo – błękit, a głównie chmury. Chmury, drzewa... były świadkami rozmów o moich uczniach, o sposobie prowadzenia lekcji, o lekturach, programie, kształtowaniu pokolenia.

Tych sfer – związku z przyrodą, ludźmi, pasji naukowej i dydaktycznej nie dotknął ani czas, ani choroba.

*

Niemożność samodzielnego poruszania się poza domem była niezwykle dotkliwa i wzmagała pragnienie kontaktów z ludźmi. Pani Profesor bardzo czekała na odwiedziny i bardzo cieszyła się nimi. Chciała mieć ławkę przy bramie wjazdowej, by nie przeoczyć ewentualnego gościa. Gdy wchodziłam do pokoju, zwłaszcza gdy wychodziłam, prosiła: „Przyprowadź mi Wiesia²²” lub „Powiedz Wiesiowi, by mnie odwiedził”. Przyprowadzałam. Odwiedzał. A Pani Profesor pogodniała. O czym szeptali, gdy wychodziłam z pokoju? – może to tajemnica konfesjonału?

*

Pani Profesor miała dar ofiarowania przyjaciół.

Tak było po tragicznej śmierci Rysi w Tatrach. „Przywiozła” mi z Zakopanego Halszkę. Powiedziała krótko: „Chcę, abyście się zaprzyjaźniły”. Słowa-życzenie, okazało się, miały siłę sprawczą.

W czasie uroczystości wręczenia książki pamiątkowej *Świat jako spektakl* (w październiku 2004), po wysłuchaniu wszystkich laudacji Pani Profesor zwróciła uwagę na to, że najbardziej Ją cieszy obecność tylu osób – dowodów przy-

²² Ks. Wiesław A. Niewęglowski – Krajowy Duszpasterz Środowisk Twórczych, mieszkający w Warszawie, student Pani Profesor.

jaźni. Pani Profesor podkreśliła dodatkowo, że przyjaźń to najważniejszy związek z ludźmi i to najbardziej cieszy.

A teraz, gdy odeszła, pozostawiła mi panią Barbarę²³, o której mówiła: „Mam tu (w domu Sióstr) serdeczną przyjaciółkę”, i Danusię²⁴ – „moją najlepszą i wierną” – powtarzała często. Gdy w ostatnim czasie łamałyśmy rytm czuwania pojedynczo i spotykałyśmy się przy łóżku razem – mobilizowała się, dowcipkowała i – widziałyśmy to – opuszczała Ją świadomość izolacji, oderwania od życia, jakie kiedyś prowadziła – pełnego osób, z którymi miała czym się dzielić.

*

Pani Profesor zawsze pogodna, zawsze uśmiechnięta, umiała zachować dystans do ludzi nieprzychylnych i do trudnych sytuacji. Racjonalność, ale i życzliwość oraz ogromne poczucie humoru – to zasady regulujące Jej stosunki z ludźmi.

A jednak byłam świadkiem łez – wielokrotnie. Spowodowanych zawsze nieodwzajemnianą miłością osób bliskich czy najbliższych. Mówiła o tym ze skargą i goryczą, ale mówiła w tym trudnym okresie pobytu w domu opieki, w którym znalazła – jak podkreślała z mocą – „optymalne warunki”, a dodam – przyjaźń, a może miłość wielu Sióstr.

*

Do końca doświadczyliśmy przyjaźni Pani Profesor – Mistrzynie... Otrzymaliśmy wzór, jak cieszyć się życiem, wzór rozumienia, co człowiekowi jest dane, a co zadane. Bezkompromisowości etycznej. Niezwykłej umiejętności selekcji, oddzielania spraw ważnych od marnych i błahych. Świadomej rezygnacji z tego, co czas weryfikuje i oddaje zapomnieniu (bowiem okoliczności nie są usprawiedliwieniem), a dostrzegania – co (czas) zatrzymuje. Nade wszystko jednak godności w znoszeniu cierpienia – wszelakiego cierpienia.

*

Dziś – patrzę w niebo. Chmury to dobry wehikuł na wycieczki, ale czy deszcz to to samo, co rzeka lub jezioro? Może jednak podlewać i pielęgnować kwiatek, który Pani Profesor położyła przede mną w czasie egzaminu magisterskiego.

²³ Barbara Emilia Rokicka – mieszkanka domu Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia w Warszawie.

²⁴ Danuta Nagórna – aktorka w Warszawie.

Tadeusz STYCZEŃ SDS

WĄWÓZ ŁUKOSZYŃSKI*

Ten ukryty dla wielu – nawet nałęczowian – skarb natury na Lubelszczyźnie odkryła dla mnie Pani Profesor zimą. Roku nie pamiętam. Pamiętam dzień: był mroźny, słoneczny dzień 12 marca. W tę zapaść w terenie – niezauważalną dla niewtajemniczonych, nawet z ośnieżonych wokół pól – wjechaliśmy na nartach jedną z wąskich, wciętych w głąb ziemi gliniastych dróg. Wnętrze wąwozu okazało się rozległą polaną. W samym jej środku leżał trzon potężnego dębu. Można było usiąść. Lecz staliśmy długo, długo. Oniemiali z wrażenia. Cisza lasu, błękit nieba, skrzący w promieniach słońca śnieg i nasze milczenie... Czułem, że Pani Profesor była mi wdzięczna, że żadnym słowem nie zakłóciłem jej tej ciszy. Ja jej też! Za to samo. Milczeniem w takich razach można przecież więcej powiedzieć drugiej osobie niż wielu słowami. Po co płoszyć tę ciszę i jej wymowę. A jak łatwo!

Dzięki Pani Profesor mogłem potem odsłonić ten skarb wielu moim przyjaciółom. Wśród nich mojemu Mistrzowi, wówczas już Kardynałowi. Nie spieszyłem się z jego odkrywaniem. Ci, wobec których to uczyniłem, niech wiedzą, że należą do moich przyjaciół, jeśli mi zezwolą tak ich nazywać.

Pani profesor Irena Sławińska niech przyjmie dziś ode mnie – „niemowy” – moje serdeczne podziękowanie za dar Łukoszyzna, tym bardziej że nie ma już polany. Zarosła olchami. Zdążyły osiągnąć – jak na ten gatunek drzew – bodaj już starczy, jeśli wręcz nie sędziwy wiek. Tempora mutantur et nos mutamur in illis. A przecież dla tych, dla których raz w życiu Wąwóz Łukoszyński z polaną w sercu stał się przeżyciem, teraz już jest on skarbem, który na zawsze ocali dla nas nasz Ojciec: Bóg-Stwórca.

Pani Ireno!

Ty to wiesz! Bo kto lepiej od Ciebie rozumie wypowiedziane w tamtej chwili do mnie te słowa Stwórcy? Kto by mi je umiał tak głęboko w serce wrazić (jak zapewne wielu innym!), jeśli nie Ty, wówczas gdy parokrotnie w autokarze

* Tekst został opublikowany w: *Świat jako spektakl. Irenie Sławińskiej na pięćdziesiątą urodziny*, red. W. Kaczmarek, Wydawnictwo KUL, Lublin 2003, s. 75n.

powtarzałaś z troską o kogoś: „Bóg jest o ciebie zazdrosny!”. Reszta niech będzie milczeniem.

Troska wspólna o młodzież naszą wywołała wtedy tę rozmowę. Czyżby to był przypadek, że dane było mnie właśnie zająć wówczas miejsce obok Pani Profesor w autokarze do Częstochowy, na Jasną Górę, by spotkać tam Ojca Świętego Jana Pawła II w „promieniowaniu Zazdrosnego Ojca”? O każde Jego dziecko... O każde wszak z osobna jest On w sposób niepowtarzalny zazdrosny, jakby każde z nich było jedynym pośród miliardów.

Castel Gandolfo, 16 VII 2003 r., Matki Bożej z Góry Karmel